Należytość pocztową opłacono ryczałtem.

Ł. 13. Żółkiew, dnia 1. czerwca 1939. Rok 3.

PRZEDPŁATA:
miesięcznie 40 gr.
kwartał. 1 zł. 20 gr.
W sprzedaży:
20 gr. za zeszyt.



CENY OGŁOSZEŃ:
Cała strona 50 zł.
połowa . . 30 zł.
ćwiartka . . 20 zł.
ósemka . . 12 zł.
Drobne ogłoszenia 8 gr. za wyraz; najmniej 1 zł.

Wychodzi dwa razy w miesiącu.

St. B.

Między wojną a pokojem.

Od tygodni i miesięcy nie wie Europa zasypiając, czy nie obudzi się pod nagłym nalotem, który rozpęta wojnę powszechną. Groźne chmury, które zawisły nad Europą nie tylko nie maleją a przeciwnie, gęstniejąc, ogarniają już Afrykę i Zachodnią Azję. Twardzo brzmią słowa polityków. Szczęku broni nic już nie pokrywa. Prawo wojenne i język żołnierski wkracza w każdą dziedzinę życia. Państwa gorączkowo nadrabiają to, czego zaniedbały, ba nawet, te które przez stulecie całe chlubiły się swą wzgardą dla militaryzmu, zmieniły front i stały się entuzjastami wojska. Europa jest gotowa do nowej wojny i czeka. Czy jednak nastąpi ona? Inicjatywa spoczywa dziś w ręku państw osi i od ich decyzji zależy, czy nastąpi uderzenie. Pierścień bowiem odgraniczający je od dalszych łatwych podbojów zamknął się, a uderzenie na którykolwiek z jego odcinków oznacza wojnę do zupełnej zagłady Włoch i Rzeszy. Czy uderzenie takie nastąpi i kiedy, trudno przewidzieć. Zdania są podzielone. Jedni uważają, że Włochy i Rzesza doszedłszy do obecnego punktu muszą iść dalej, gdyż zahamowanie marszu oznacza załamanie się wewnętrzne, polityczne i gospodarcze, drudzy natomiast twierdzą, że państwa osi mimo świadomości, że czas pracuje na rzecz antyniemieckiej koalicji, ograniczają się jedynie do pogróżek, demonstracyjnych defilad wzdłuż granic, prowokacyj, gestów i t. d, ale wojny nie rozpoczynają. Dlaczego? Odpowiedź krótka. Boją się! Włosi, aby w 24 godzin po wybuchu wojny nie nastąpiła w afrykańskich ich posiadłościach rzeź Włochów. Niemcy natomiast — mimo traktatów przyjacielskich po deklaracji Mussoliniego i t. d. — nie ufają Włochom, nie mogą im bowiem ciągle zapomnieć roku 1915.

I tak załatwiamy nasze codzienne sprawy, pracujemy, używamy rozrywek, tkwiąc między pokojem i wojną, w stanie, który dla naszego narodu nie jest niczym nowym. Podobnie bowiem żyli nasi dziadowie i pradziadowie. Nie ma u nas pacyfizmu i defetyzmu, niema różnic w ocenie polityki ministra Becka wobec fantastycznych i bezczelnych żądań niemieckich. Groźne chmury stały się cudownym katalizatorem jedności narodowej. Od morza odepchnąć się nie damy. Nic to nie szkodzi, że w Gdańsku dziś jest 80% niemców. — Gdańsk jest miastem polskim, mimo zewnętrznej swastykowej powłoki, a ziemię gdańską od prawieków użyźnia i wzbogaca polska wiślana woda. — Dla nas Polaków nie jest ważne to, co mówi Hitler, ważne natomiast jest tylko to, co nam dyktuje polska racja stanu. — Ani groźby, ani przewaga liczebna Niemców nie przerażają nas. My wierzymy w naszą Armię, w naszą moc ducha i naszą niezłomną wolę bytowania jako państwo potężne i gospodarczo niezależne.

Dnia 31 maja odbyły się w Żółkwi wybory nowych władz miejskich. — Posiedzeniu przewodniczył p. Morelowski. — Burmistrzem wybrany został p. Dr Julian Spunar, wiceburmistrzem p. Franciszek Kasperski, ławnikami pp. Nowoświecki Kazimierz, Dębicki Wiktor i Czaczkes Oziasz.

A. Baumgardten

Z czarnohorskiej włóczęgi

Piękny, słoneczny poranek odprowadzał nas na dworzec kolejowy we Lwowie. Jeszcze raz przed wsiadaniem sprawdzamy wszystkie szczegóły naszego górskiego ekwipunku. Chwała Bogu! wszystko jest. Możemy ruszać.

W pociągu piekielny ścisk i upał. Dzięki zupełnie niesłychanym wysiłkom zdobywamy dla naszej towarzyszki jedno miejsce. Plecaki ułożyliśmy na czyichś plecach. Sami przybraliśmy możliwie aerodynamiczne kształty, przysiedliśmy zgodnie na jednym kolanie jakiegoś zażywnego jegomościa, który widać był mało apopletycznej konstrukcji, bo tylko spojrzał na nas i westchnął. Westchnęliśmy i my. Pociąg westchnał również i ruszył.

Od Nadwórnej zaczęli ludzie wysiadać. Przed Worochtą byliśmy już prawie sami w przedziale. Ale oto przyłączyli się do nas nowi towarzysze. Były to góry. Naprzód okręcił się dokoła nas opasły Chomiak, potem gdzieś z boku wyrosła Kostrzyca, wreszcie zapachem dalekiej jeszcze Czarnohory przewiała na horyzoncie strzelista Howerla. Tkwiliśmy w oknach jak urzeczeni a niecierpliwe stopy dreptały po brudnej podłodze wagonu w oczekiwaniu na pachnące, połonińskie płaje.

Oto podbiega ku nam uśmiechnięta w słońcu Worochta. Zupełnie zwariowana, górska mieścina. Budowana pospiesznie, bez żadnego planu, z dnia na dzień, przypomina Worochta wyglądem owe pionierskie miasta na dzikim Zachodzie czy osady poszukiwaczy złota w Klondike i nad Yukonem. Aż dziw bierze, że na ulicach nie strzelają z rewolwerów, a dzikie mustangi nie tańczą uwiązane u wrót biura szeryfa. Zamiast tego włóczą się po ulicach (w Worochcie jest właściwie tylko jedna ulica, raczej trakt główny) rozmaite niesłychanie barwne piżamy, napełnione ludzkimi ciałami i straszą Bogu ducha winnych huculów swym wysokogórskim żargonem (i w ogóle żargonem).

Przez resztę dnia nie ma nas w Worochcie. Bobrujemy dla treningu po najbliższych carynkach*). Jutro czeka nas ciężki marsz. Wracamy pod wieczór nieco zasapani, ale szczęśliwi i już z zapachem gór w nozdrzach. Nie znęci nas dancingowa, rozkołysana melodia. Góry — to nasza atrakcja. Nie kupimy tandetnej ciupagi, zapuszczonej „na mahoń" z napisem „Worochta". Wytniemy sobie przy najbliższej okazji tęgi kijaszek i on z nami pomaszeruje. A teraz? A teraz spać!

Raniutko maszerujemy już w takt podzwaniających manierek i menażek ku kolejce wąskotorowej. W jedynym, „reprezentacyjnym" wagoniku tej kolejki znajdujemy już innych turystów. Jakieś towarzystwo na Howerlę, dwóch smutnych z wyglądu młodzieńców bez wyraźnego przeznaczenia, jakiś stary wyga górski w pięknych, podkutych „bergsteigerach" w drodze na Kostrzycę. — W kącie trzy ogromne plecaki, dwie fajki schylone nad mapą. — To my!

Nagle trzęsienie ziemi! Parę wystrzałów, zgrzytliwe trzaski... Taki właśnie hałas musi wydawać stado krokodyli zgrzytających zębami. To nasza kolejka ruszyła. Powoli, oglądając się ciągle, przystając, podskakując — jednak ruszyła. — Odpuściliśmy przecież jej to wszystko z głębi serca, bo wiozła nas w góry. Po dwu godzinach wysypaliśmy się na stacji końcowej: w Foreszczence. Dalej już pójdziemy pieszo. Nasza towarzyszka chytrze znalazła sobie jakiegoś hucuła, który za małe wynagrodzenie miał jej zanieść plecak aż do pierwszego etapu naszej podróży — na Maryszewską. Nam nie wypadało jakoś oddawać plecaków — tym bardziej, że

*) Carynka — mała połonina w pobliżu huculskiego domostwa.

Kajot.

Niesamowite spotkanie.

C. d.

Ruchome jej wargi szeptały pacierze, lecz oczy jej i wykonywane czynności nie pozwały żywej myśli przejąć się słowami modlitwy.

Umęczona formalnym korzeniem się na klęczkach, gdy światła już na dobre rozgorzały, usiadła dogodnie na pniu sąsiadującym z grobem i uległa wspomnieniom. Zaduszna bliskość męża owładła jej wyobraźnią. Odtwarzała go w rozmaitych sytuacjach. Słyszała to jego wesoły śmiech, to głęboki, suchotniczy kaszel. Widziała go w tańcu i przy robocie. Odtwarzała jużto miłe jużto przykre chwile z ich współżycia. Zimny strach otrzeźwił ją na chwilę, gdy wpatrzona w zwiewne płomyki świateł, ujrzała kochanego Jana na marach. Nie chciała go takim widzieć. Pragnęło go mieć żywym, ruchliwym, jednak jakaś uparta, smutna zmora, wbrew jej woli, zasnuła żałobą jej majaczenia i poczęła pastwić się nad nią pogrzebnym pochodem...

Opadłe powieki zgasiły żywy blask jej oczu. Z coraz to większym trudem podnosiła w górę opadającą na piersi głowę. Poczęła płynąć świetlistą drogą za uśmiechniętym Janem, to znowu piąć się w górę, coraz wyżej wędrować przez złote mosty... Jej ciężki, miarowy oddech stał się dla niej zaziemskim śpiewem aniołów. Dokuczający jesienny chłód zamienił się w zaziemską atmosferę...

Niedogodna do snu pozycja obudziła śpiącą. Zerwała się nagle na nogi. Rozgląda się i oczom nie wierzy. Dokoła cisza i zupełna ciemność. Po chwili zorientowała się. Jest na cmentarzu. Światła już dawno pogasły. Ludzie odeszli. Ślepa noc wyolbrzymiła przestrach. Jak śliski wąż prześliznął się cierpki dreszcz po jej grzbiecie i usztywnił włosy pod chustką. Niezwłocznym pędem puściła się w dro-

nie było komu. Ruszamy tedy przed siebie z gęstą miną. Już po chwili mijamy towarzystwo idące na Howerlę i skręcamy w lewo za biało-zielonym znakiem. Tu też żegnamy się z Prutem, z którego bierzemy do manierek wodę. Znad brzegu Prutu ostrym podchodem wznosimy się w górę. Leśny, wilgotny płaj usuwa się spod nóg — duszno mimo chłodu. Po jakiejś godzinie przysiadamy ledwo żywi na jakiejś oślizgłej belce. Po chwili pniemy sie dalej. Las i las. Świerki kilkunastometrowe, smigłe idą z nami. Już dobrze z południa wychodzimy na połoninę. Na plecach ciążą plecaki — na głowach słońce. — Upał!

A hucuł z plecakiem naszej towarzyszki śmiga przodem jak jeleń. Tyle — że z rzadka, od wierchów okrzykuje się nam dla znaku. Wściekli i spoceni drzemy się w górę jak szatani — gryząc w zębach przekleństwa pod adresem zdrajcy hucuła.

Tymczasem słońce grzeje coraz mocniej, plecaki ciążą coraz bardziej. Plecaki — przyjaciele na postoju, — wrogi w marszu! Na próżno byś go układał i upychał przemyślnie i mądrze. Zawsze po pierwszym kilometrze „wyjdzie ci bokiem" elektryczna latarka, a resztę życia zbrzydzi źle upakowana puszka konserw. Ale na to nie ma rady. Żadnej rady!

Wśród takich niewesołych rozmyślań minęliśmy Małą Maryszewską i opamiętali się dopiero na Wielkiej. Tu złapaliśmy naszego hucuła, który zdecydował się wrócić, jako że ze szczytu było widać już schronisko. I tak oto zostaliśmy sami wśród gór z trzema plecakami i jedną niewiastą.

W tej właśnie chwili rozglądnęliśmy się w prawo i w lewo. I zapomnieliśmy o wszystkim. O głodzie i znużeniu, o upale i plecakach. Widzieliśmy tylko z jednej strony rozfalowane m rze szczytów Beskidu huculskiego. A z drugiej...

Z drugiej strony Czarnohora. Potężny pas wyniosłych szczytów wyrósł nagle nad nami, niespodziewany i groźny, jak człowiek nad kopcem mrówek. Od przepięknej, o nieskazitelnym profilu Howerli wędrujemy oczarowanym wzrokiem ponad obłym grzbietem Breskula przez Dancerz i Pożyżewską aż ku wielkiemu, nosatemu Turkulowi, przez który będzie jutro przechodziła nasza droga.

Schodzimy powoli w dół pod nieodpornym urokiem Czarnohory. Brniemy w połonińskiej, nagrzanej trawie, bezdrożem w dół ku schronisku. Milczymy. Mówią za nas nasze oczy. — Słuchamy — dzwoni ku nam cisza echami pohukiwań skutarów, teleńtaniem owczych dzwonków.

Oto i schronisko. Piękne i ozdobne, wita nas na Maryszowskiej drewnianym wykwintem stylowego profilu. Wnętrze pachnie żywicą i czystością.

Obiad mija szybko. Po obiedzie towarzyszka nasza idzie odpocząć.

Nas wygnało znów na świat. Rozpędziliśmy się ku wysokiej grani turkulskiej, na Kizie Ułohy, kędy w kotle „Kiedrowatym" szumią limby. Ale nie zdążymy. Zapadniemy tylko jak wyżły w bogatą kosodrzewinę, będziemy zdumieni odnajdywali najdziwniejsze kwiaty o niespotykanym nigdzie zapachu. Aż wieczorem przywoła nas z powrotem żółtym światłem okno schroniska.

Na kolację zeszliśmy do huculskiej bryndzarskiej stai. W małej, kurnej, zakopconej chatce przeżywamy czarujące, wieczorne misterium, czerwone od ognia płonącej na klepisku watry, pachnące dymem i owczym serem. I kiedy tak siedzimy wsłuchani w monotonnie płynące opowieści bryndzarza o połonińskim, szerokim życiu, kiedy ogień buzuje pod kotłem z mamałygą a fajki wygasają, dostrzegam kątem oka, jak małe jagniątko usypia wygodnie i słodko w ramionach naszej towarzyszki. I nas powoli ogarnia senność i nie wiemy już dobrze, czy to słowa bryndzarza pluszczą w ciszy, czy w podstawioną berbenicę kapie serwatka ze świeżego sera.

Tak nadchodzi na połoninie noc...

Ranek był znowu, gdy wypoczę-

---

gę na przełaj przez cmentarz. Pragnęła jak najrychlej wydostać się z towarzystwa zmarłych na ciągnący się obok gościniec i ujrzeć ludzi.

Śpieszy się bardzo. W ciemności nie widzi żadnych przeszkód. Co chwilę potyka się o wystające korzenie drzew, lub pośliźnie się na mokrych liściach, albo zawadzi o nasyp grobu. Biegnie, jakby ją kto popędzał. Serce bije młotem pod piersią i rozgrzewa potęgującym się żarem wszystkie tętnice. Gorąco skrapla się potem pod grubą chustką. Zaostrzony słuch staje się czułym na cichy szmer liści, na udar gałązek o płaszcz przedzierającej się przez krzaki Agnieszki. Rozwarte w ciemności oczy wyolbrzymiają błędne mary kamiennych pomników, uruchomiają wyciągnięte ramiona krzyżów. Agnieszka nie woła, nie krzyczy. Posuwa się ruchem puszczonego w bieg mechanizmu.

Wtem wysunięta naprzód noga nie napotyka twardej podstawy, leci w jakąś przepaść, ciągnie za sobą nieodpartą siłą wystraszoną wdowę i kładzie ją na wilgotnej ziemi. — Omdlała. — Po dobrej chwili poczęła trzeźwieć. Stwierdziła, że żyje. Zwolna uruchomiła zdrętwiałe nogi i ręce. Powstając stwierdziła dotykiem, że wpadła do świeżo wykopanego grobu. Strome brzegi, rozmokła, śliska glina, zażywna postać schwytanej, jakby w wilczy dół Agnieszki, uniemożliwiają wydobycie się. Na brzegu nie może domacać się ręką jakiegoś korzenia lub kamienia, którego chwyt dopomógłby jej do wydostania się z głębokiego dołu. W stromej ścianie wydłubała stopień dla oparcia nogi. Zaledwie jednak nieco podźwignie się w górę, ręce jej garną z brzegu rozmokłą ziemię i bezwładnie opada na dno. Jej bezradne przerażenie ożywiło świętą ziemię. Wyolbrzymiony strachem łoskot, opadających z góry grud, budzi w jej wyobraźni zabójczy zamiar pogrzebanych umrzyków. Widocznie chcą ją żywcem zakopać.

Umęczona daremnym wysiłkiem usiadła na dnie i w modlitewnym nastroju rozpłakała się, jak niezaradne dziecko.

C. d. n.

ci i wyspani ruszamy ku graniom Czarnohory. Tym razem idzie z nami mały ale silny huculski konik, do takich wypraw jedyny. Koń niesie naszą towarzyszkę i plecaki. Za koniem gęsiego my, — a przed tym wszystkim hucuł, właściciel konia. Pogoda — z początku niewyraźna — poprawia się w miarę naszego wznoszenia się. Minęliśmy już Turkul. Pozostała za nami w dole linia lasów, przebrnęliśmy już drugą linię obronną Czarnohory, linię kosodrzewiny, oplątującej gęstym i zawikłanym wieńcem podszczytowe zbocza Czarnohory. Ponad kosodrzewiną spotykamy już tylko połonińską trawę o charakterystycznej żółto-zielonej barwie. Kwiatów niewiele. Najwierniej towarzyszy nam skromny różanecznik, roślina typowo górska z rodziny rododendronów, o drobniutkich, czerwonych kwiatkach.

Poza tym nikogo i niczego. Górą błękit, dołem zieleń i daleki, daleki widnokrąg. Gdzieniegdzie na zboczach płaty śniegu. Wysokość 1800 m.

Uciążliwym i ostrym marszem osiągamy wreszcie szczytową i główną grań Czarnohory: Rebra. Teraz już cały czas pójdziemy szlakiem szczytowym. Posuwamy się teraz wąskim przesmykiem między dwiema zapadlinami. Z prawej o wiele niżej łańcuch ostrych grani: to Kozły Wielkie i Małe. Z lewej potężna, kilkusetmetrowa przepaść: Kocioł Gadżyny. Na dnie, daleko — daleko małe lusterko górskiego jeziorka świeci nam prosto w oczy odbitym od słońca reflektorem. Wychodzimy na Szpyci. Jesteśmy w najpiękniejszym zakątku Czarnohory. Widok jest rzeczywiście taki, że cichniemy zupełnie i patrzymy. Z dna olbrzymiego, czarnohorskiego „Kotła" dźwigają się ku górze kapryśne, ostre iglice, nadłamane obrywy, fantastyczne, skalne uskoki. — Szpyci — legendarne, dobuszowskie pałace. Tu miał swój zbójnicki obóz, swoje skarby, wojsko i prawo sławny Dobusz, zbójnik znakomity, Janosików tatrzańskich brat i kompan. Tu pozostawił po sobie w pamięci ludu sławę i cześć niezmierną i tym skałom i niedostępnym iglicom skarb swój złoty, zbójnicki powierzył.

Nad Kotłem Gadżyny wysoko stanął jastrząb olbrzymi. Gdzieś od Kozłów nadleciał potężny, stuletni chyba kruk. I oto staliśmy się mimo woli świadkami straszliwej walki kruka z jastrzębiem. Walki o królestwo gór. Patrzyliśmy długo z podziwem i grozą, dopóki oba ptaki nie zapadły gdzieś w skalnych rozpadlinach.

Dalsza nasza droga szła szczytami ponad 2000 m. Minęliśmy już Brebenieskul z doskonale zachowanymi zasiekami i okopami z czasów wielkiej wojny. Okopy te i groby wojenne ciągną się całym niemal łukiem Karpat jako tragiczna pozostałość jednej z najkrwawszych w dziejach ludzkości wojen.

Z Brebenieskula zbaczamy za czeską granicę na Gutin Tomnatek. Ponieważ pogoda — jak na Czarnohorę — wyjątkowo piękna, obserwujemy z tego szczytu daleką panoramę Karpat czeskich i rumuńskich aż do majaczących na widnokręgu Alp Transylwańskich. — Zszedłszy z Gutin Tomnateka wracamy ku naszej pierwotnej drodze i przez Munczel i parę pomniejszych szczytów podchodzimy ku ostatniemu bastionowi Czarnohory. Jest nim potężny Pop Iwan.

Ma się już dobrze pod wieczór, gdy dochodzimy do szczytu. Na Popie Iwanie mimo dość późnej pory ruch i praca. Buduje tu L. O. P. P. potężne obserwatorium astronomiczne. Jest to najwyżej w Polsce wznoszona budowla (2028 m. nad poziom morza) imponujących rozmiarów, budowana z żelazo-betonu i już prawie pod dachem. Mogliśmy na własne oczy skontrolować, w jak niesłychanie ciężkich warunkach odbywa się tu praca. Materiał budulcowy, przyrządy, żywność dla robotników trzeba z wielkimi trudnościami sprowadzać z dalekich nieraz stron. Brat mego towarzysza, prowadzący tu robotę, dał nam do wglądu książkę pracy. Czytamy w niej wyraźnie: 16 maja roboty nad usuwaniem śniegu. Nic zatem dziwnego, że w takich warunkach robotnicy nie bacząc na wysoki stosunkowo zarobek (10—15 zł. dziennie) bardzo często opuszczają pracę i wracają do domu. Mimo to jednak dzięki upartej pionierskiej pracy innych rośnie powoli tutaj na wysokości 2000 metrów budowla, mająca być bastionem postępu i cywilizacji. Mimo codziennych niemal burz i zawiei, mimo ostrego, górskiego klimatu i niebezpieczeństw praca polskich rąk i ducha posuwa się wciąż naprzód. Huragany biją od dalekich rumuńskich czy czeskich grani w tę samotną pionierską placówkę na szczycie Popa Iwana, ale praca nie ustaje. Kamień za kamieniem, belka za belką wrasta na szczycie czarnohorskim polskie obserwatorium astronomiczne.

Tutaj — choć z żalem — czas nam się rozstać z dumną Czarnohorą. Na drugi dzień po przenocowaniu w pomieszczeniach inżynierskich schodzimy drogą na Maryczejkę ku Zełenemu i na Burkut. Przed nami barwne i pachnące milionem kwiatów połoniny hryniawskie, świat nowych wzruszeń i osiągnięć. Ale jeszcze raz odwracamy oczy, by przesłać najtkliwszy z naszych uśmiechów — wyniosłej i królewskiej Czarnohorze.

W. Dębicki.

SPÓJRZMY W PRZYSZŁOŚĆ...

C. d.

Dopływ inteligentów będących punktem ciężkości Narodu, będących właściwym wyrazem działania i poczynań społeczeństwa, jest na wieś znikomy wskutek czego wieś nie posiada dotychczas swej reprezentacji intelektualnej i poprzestaje na poczynaniach jednostek, w szczególności nauczycielstwa, wchłania ją bowiem środowisko miejskie i tu ją bez względu na pochodzenie deklasuje. Warstwa owa, która jest najaktywniejszym czynnikiem w państwie, słabo jest związana z warstwami czynnymi w procesach gospodarczych, szczególnie rolniczych, skutkiem czego jej oddziaływanie na wieś jest w wysokim stopniu ograniczone, a wynikiem tego wiele niedomagań

w polskiej rzeczywistości społeczno-gospodarczej, choć by na ogół smutny stan naszych domostw po wsiach i miasteczkach.

Nadomiar złego, warstwa owa jest słabo odświeżana przez awans społeczny niższych grup społecznych, wskutek trudności materialnych młodzieży chłopskiej i robotniczej, a i tę nie wielką garstkę pochłania w dużej mierze biurokratomania. Dla przykładu podaję, iż w kraju par exellence rolniczym, w którym wedle ostatniego spisu ludności, z rolnictwa żyło 19,346.000 ludzi, dyplomy ukończenia wyższych szkół rolniczych otrzymuje rocznie przeciętnie około 350 osób, a więc 0,0017%. Ale samo rolnictwo dostarcza zaledwie surowców. Właściwa gospodarka wymaga odpowiednio do rozwoju rolnictwa zorganizowania przemysłu i zorganizowania rynków zbytu, pośrednictwa towarowego i kredytowego, tej zaniedbanej u nas dziedziny.

O dystansie między nami a innymi państwami świadczą wymownie cyfry.

Podczas gdy wartość rocznej produkcji na jednego mieszkańca w Polsce wynosi 317 marek złotych, to we Francji 930, w Niemczech 1077, w Szwecji 1102, w Holandii 1480. Polak jest biedniejszy trzykrotnie od Francuza, a blisko pięciokrotnie od od Holendra.

Powyższe dane wykazują wybitnie uwielokrotnienie.

Nie możemy prowadzić nadal ekstenzywnego trybu życia i pracy, musimy nadrobić wiekowe opóźnienia rozwoju gospodarczego, musimy zerwać z dotychczasowymi pojęciami „jakoś to będzie“, musimy wytworzyć nowy, bardziej intensywny sposób życia gospodarczego, musi nastąpić gwałtowne wzmożenie tempa wysiłku narodu i to nie chwilowe, a stałe. Ostatnie wydarzenia polityczne wskazują, że wyścig pracy to jedyne dziś realne uzasadnienie prawa do bytu człowieka i Narodu, to dziś wyścig oręża w najlepszym znaczeniu.

C. d. n.

KRONIKA.

Z miasta: Zjazd Szlachty zagrodowej pow. żółkiewskiego, który odbył się w Żółkwi dnia 18 maja, był wspaniałą manifestacją potomków tych — osiadłych tu od wieków — rycerzy-kmieci, którzy zawsze czujni, byli puklerzem Rzeczypospolitej przed rozbójniczymi watahami tatarsko-kozackimi. Świadomi Swego posłannictwa, stawali na każdy zew ojczyzny, lejąc obficie krew swą serdeczną na polach setek pobojowisk. Rozdrobniona i zubożała po upadku ojczyzny, zatracała zwolna świadomość Swego pochodzenia, a łącząc się w związki rodzinne z napół mongolskim dzikim „susidem“ odpadała od pnia ojcystego.

Oby ten Zjazd stał się dla tych, co będąc kość z kości potomkami dumnej szlachty żółkiewskiej, dniem przebudzenia z koszmarnego snu, dniem wyzwolenia z pod wpływów rozwydrzonego i nienawiścią przesiąkłego do wszystkiego co polskie ukraińca w kabacie, siermiedze czy sutannie.

Zjazd, w którym brało udział ponad 600 członków Kół Związku Szlachty zagrodowej, zaszczycili Swą obecobecnością p. generał Zulauf, p. Dowódca Garnizonu, p. Starosta Sługocki, p. burmistrz Konieczny i p. inspektor Janiszewski.

O godzinie 11 uformował się pochód, który przeszedłszy ulicami Berka Joselowicza, Żółkiewskiego, złożył pod pomnikiem króla-rycerza wieniec z szarfami narodowymi — po czym czwórkami ruszył na narady do krytej ujeżdżalni, którą do dyspozycji zjazdu oddał Pułk Strzelców Konnych.

Naradom przewodniczył p. dyr. Przedrzymirski, który do Prezydium zaprosił pp. Starostę Sługockiego, burmistrza p. Koniecznego, prezesa O.Z.N. p. Korczyńskiego i p. prof. Żurakowskiego, p. Maćkowskiego, p. Duczymińskiego i p. Łozińskiego, po czym oddał głos p. gen. Zulaufowi, który w słowach prostych żołnierskich przemówił do Szlachty. — Z kolei przemawiali: pan Starosta, p. Inspektor, p. burmistrz, a na zakończenie dłuższe przemówienie — doskonałe pod względem formy i treści — wypowiedział ks. prof. W. Rogowski.

Narady trwały do godziny 15. Zjazd wyłonił ze swego grona Zarząd powiatowy z siedzibą w Żółkwi — do którego weszli — jako prezes, dyr. Wł. Wł. Przedrzymirski, — wiceprezes prof. Gliński Ernest, — skarbnik mjr. Drozdowski I. oraz pp. Duczymiński Fr., Maćkowski St., Łoziński Dymitr i Dołoszycki Izydor. Kom. Rew. pp. Żółkiewski Miron, Radzikowski Wł. i Głogowski M. — Sąd kol. rejent Korczyński i wicestarosta Telichowski Zdzisław.

Po wysłaniu depesz hołdowniczych do Pana Prezydenta, Marszałka Rydza-Śmigłego i gen. Sławoj-Składkowskiego oraz Pani Marszałkowej Piłsudskiej — i odśpiewaniu Hymnu, Zjazd zakończono.

—o—

Zupełnie niepotrzebną sensacją powyższej uroczystości była osoba pana P., który niepomny swego nie-aryjskiego pochodzenia, poczuł się raptem „równym wojewodzie“ i wcisnął się do pierwszej czwórki (po reprezentantach) pochodu, wywołując swoją tam obecnością ogólną wesołość gapiów.

—o—

MŁODZIEŻOWE ZAWODY STRZELECKIE.

Przed paru dniami odbyły się zawody strzeleckie młodzieży gimnazjum. Do zawodów zgłosiło się 159 chłopców ze wszystkich klas tak gimnazjum jak i liceum. — Odznaki strzeleckie uzyskało 105 chłopców.—

Najlepsze wyniki z gimnazjum uzyskali uczniowie Rekliński i Wasilewski. —

—o—

PRZENIESIENIE.

Do Jaworowa przeniesiony został z Żółkwi jeden z najlepszych urzędników tutejszego urzędu pocztowego p. kontrolor Kazimierz Dennenfeld. Pan kontrolor poza Swoimi obowiązkami służbowymi piastował godność prezesa Oddziałów: Zw. Rezerwistów i B. Żołnierzy Armii polskiej we Francji. Swoją godność prezesa traktował nie jako szyld, ale jako odpowiedzialny obowiązek, dzięki czemu powierzone

Jego pieczy Związki, rozkwitły, a On był ich duszą.

Żal po swym prezesie będą długo zachowywać w sercach członkewie Związków, którzy wiele dobrego mu zawdzięczają a dziś łączą się wszyscy w szczerym życzeniu, by miał On na nowej placówce jak najwięcej radości i uznania.

—o—

Z żałobnej karty.

Ś. p. pułkownik Jerzy Pytlewski

W tych dniach zmarł w Warszawie w 52 roku życia pułkownik W. P. w stanie spoczynku, ś.p. Jerzy Świerszcz Pytlewski, b. dowódca 6 pułku Strzelców Konnych im. hetm. w. kor. Stanisława Żółkiewskiego, stojącego załogą w Żółkwi. Pogrzeb ś.p. pułkownika Pytlewskiego, kawalera orderu Virtuti Militari, odznaczonego Krzyżem Niepodległości z mieczami, trzykrotnie Krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi i in. odbył się w Kielcach, gdzie ostatnio zamieszkał, a staraniem żółkiewskiego pułku S. K. odbyło się za spokój Jego duszy nabożeństwo żałobne w kościele farnym.

Pułkiem żółkiewskim śp. pułkownik Pytlewski dowodził lat ośm (1926—1934), w którym to czasie zajął się gorliwie odbudową zniszczonych skutkiem działań wojennych obiektów koszarowych, a nadto urządził stadion dla wyścigów konnych i gier sportowych, wykończył pawilon oficerski oraz krytą ujeżdżalnię przy ul. Lanikiewicza, rozszerzył ramy i podniósł w wysokim stopniu estetyczny wygląd budowli, w której mieści się dowództwo pułku i innych budynków, objętych siecią zabudowań wojskowych.

Dzięki szczególnym zdolnościom administracyjnym, zmarły pułkownik uporządkował a częściowo odbudował wszystkie, podczas wojny na terenie Żółkwi w znacznej ilości uszkodzone, względnie spalone budynki koszarowe. Życzliwym i ludzkim traktowaniem podwładnych, od szeregowych począwszy, aż do oficerów wyższych stopni służbowych, zjednał sobie par excellence cały, pieczy jego powierzony garnizon żółkiewski, a również pełne taktu ustosunkowanie się cenionego dla niezwykłych zalet charakteru pułkownika do ludności cywilnej sprawiło, że okres Jego kierownictwa pułkiem złotymi zgłoskami zapisał się w annałach kroniki wojskowej.

Jako mowca znakomity brał także czynny udział w każdej, godnej poparcia akcji społecznej i w życiu publicznym grodu Żółkiewskich.

Wieść żałobna o zgonie zasłużonego pułkownika i obrońcy Ojczyzny odbiła się głośnym echem w szerokich kołach miejscowej społeczności, budząc oddźwięk bolesny.

Cześć Jego pamięci.

—o—

Z POWIATU.

Turynka.

Koło Rodziny Rezerwistów w Turynce urządziło w dniu 7 maja „Zabawę taneczną“ przeznaczając całkowity dochód na F. O. N. Zabawa w miłym nastroju trwała do wczesnego ranka. Pracy i starań nie szczędziły członkinie tut. Koła R. R. a w szczególności p. Ant. Szyłkiewicz, p. St. Olbrecht i Ir. Capińska. Należy również wpomnieć, że Koło R. R. samorzutnie zakupiło bon P. O. P.

W dniu 12 maja w świetlicy Z.R. odbyła się żałobna akademia poświęcona pamięci Wielkiego Wodza Marszałka J. Piłsudskiego, pod przewodnictwem p. Józefa Olbrechta. Na akademię przybyli mieszkańcy gminy i przedstawiciele organizacyj. Mowę poświęconą pamięci Wodza wypowiedział w pięknych słowach p. R. Tatarzyński — a rzewny obraz „Nad mogiłą żołnierza“ wykonały dzieci szkolne z Turynki, pod kierownictwem tut. Grona.

Należy również zaznaczyć, że przy powitaniu J. E. ks. Biskupa Baziaka brała czynny udział dziatwa tut. szkoły, która na przestrzeni kilkudziesięciu metrów sypała kwiaty. Piękny powitalny wiersz w imieniu dziatwy wygłosiła uczenica Janina Olbracht, wręczając J. E. ks. Biskupowi piękny bukiet.

═══

Nic bez pani Koci.

Sala szkolna wypełniona po brzegi zasłuchaną płcią piękną, z której — oczywista najmłodsza pani kocia liczy coś ponad .. .dzieści.

Dobrze wyglądający prelegent Dr Mięsko mówi zajmująco o Esmarku, tamponach i t. d. —

Pani Kocia zaczyna się niecierpliwić. Co chwila spogląda na zegarek, wyciera ostrożnie czoło — gorąco jest okropne — pudruje delikatnie wydatny, czerwony nos.

Skupioną ciszę przerywa raptem pukanie. Prelegent podchodzi do drzwi i oznajmia po chwili „że pani Kocia jest proszona na bardzo ważną konferencję do starostwa“. — Wezwana zrywa się z miejsca i rzucając w salę westchnienie „już trzecie dzisiaj zebranie“ — wychodzi. W pół godziny później pani Kocia jest z powrotem na wykładzie i skrzętnie odpisuje od sąsiadki utraconą część wykładu.

W momencie kiedy prelegent dochodził do „schorzeń psychicznych“ rozległo się gwałtowne pukanie — Pani Kocia jest proszona o natychmiastowe przybycie na bardzo ważne narady do magistratu“ oznajmia z dziwnym uśmiechem Dr Mięsko a salę przechodzi stłumiony chichot.

Pani Kocia wybiega znów z sali — manewrując po drodze puszkiem po tryumfującej twarzy — po to, aby w godzinę później wybiec znów na niesłychanie ważną konferencję do Pewu...

Ile dałeś stróżowej za wywoływanie? pyta wieczorem męża pani Kocia. Poszło doskonale! Myślałam, że popękają z zazdrości. — Widzisz jaką masz mądrą żonę ty mój rozkoszny cyncybałku. —

———

Redakcja uprasza P. T. Abonentów o uregulowanie zaległości, oraz wpłacanie bieżącej prenumeraty.

Kącik gospodarczy.

J. Krauss.

Pszczoła

Naokoło świata towarzyszy pszczoła ludziom szukających szczęścia po nieznanych, nowo odkrytych krajach, osiedla się wraz z nimi w umiarkowanej i gorącej strefie. Znana od niepamiętnych czasów jedynie na lądach zamykających Śródziemne Morze, rozprzestrzenia się po wszystkich kontynentach. Zyskuje uznanie i opiekę również w zamorskiej Ameryce i Australii.

Wiecznie dzika, nieokiełzana, nieustannie grożąca człowiekowi ognistą bronią żądła, wroga jego opiece, a jednak mimo niezmiennie wojennego z nim stosunku, nie tylko, że go nie zraża, lecz owszem do przyjaźni zachęca. Ciągle podnieca go do opłacanych bólem zabiegów, byle tylko nie wyzbyć się jej sąsiedztwa, byle współżycie z nią jako tako umożliwić. Pszczoła bowiem w swobodzie życia nie da się nigdy ukrócić. Jej skrajnie bohaterska rycerskość nigdy nie ugnie się czołobitnie przed urojoną koroną biblijnego króla stworzeń. Władztwo jego nad tą drobną muszką jest zawsze ułomne, zawsze pozorne. Triumf przelotnego zwycięstwa nad pszczołą opłaca człowiek uległym poddaniem swojej woli pod obowiązujące bezwzględnie prawa i urządzenia, normujące współżycie w ich republice.

Silna — mocarna — istotnie niezwyciężona to rzeczpospolita. Uległy nienasyconej zachłanności człowieka tury, żubry, bobry, oczekują takiegoż losu olbrzymy Afryki i Azji, lecz pszczoła mimo łakomej dla niego słodyczy, mimo, że u kolebki naszego rodu zawarła z nim bliską znajomość, mimo, że jest tak drobną, nie tylko, że nie dała mu się wytępić, lecz nie dozwoliła mu się nawet uniewolnić!

Żądło pszczół, jej junactwo lekceważące śmierć i życie — jej miłość rodzinna zdolna do skrajnych ofiar — uwieczniły jej byt na ziemi!

Nie lekceważmyż tego drobiazgu. Pamiętajmy, że przyroda równie olbrzymia jest w swych wielkich jak i małych dziełach, że rozmiaru ich nie mierzy się okiem człowieka.

Chcąc badać budzące w nas podziw przymioty pszczół, musimy odpowiednio dostroić naszą duszę i serce. Kto bowiem patrzy na nie bez umiłowania, ten nigdy nie dojrzy wewnętrznej istoty ich życia.

Dla uwypuklenia różnicy dzielącej nas i nasz żywy inwentarz gospodarczy od pszczół — zaznaczam na wstępie, że ona uosabia niezrównaną siłę roboczą, wiecznie, bo dniem i nocą, bo latem i zimą będącą w ruchu i nigdy nie strajkującą, że reprezentuje wzorową czeladź, która bez naszych zabiegów, przy sprzyjających warunkach aury i okolicy, utrzymuje w niepokalanej czystości swój przybytek, skutecznie go broni — na noc, mimo dalekiej wędrówki, sama się w nim gromadzi a wreszcie, że nie tylko, iż sama się wyżywi, lecz jeszcze oddaje nam znaczniejszą ilość miodu, bo do 40 kg z jednego pnia tytułem lichwiarskiego czynszu za najem mieszkania.

Wobec tak niezwykłych stworzeń wyzbądźmy się bodaj na chwilę ludzkiej zarozumiałej pychy. Przybierzmy w fantazji ich drobną postać, byśmy tym łatwiej mogli się do niej zbliżyć, z nią zaznajomić i bodaj pobieżnie przyjrzeć się jej tajemniczemu życiu.

Niewielką szczeliną, t. zw. oczkiem, po wylegitymowaniu się przed czuwającą tamże strażą, wchodzimy do ciemnego wnętrza pnia. Dzięki dwom wielkim oczom, złożonym każde z osobna z 6.300 soczewek, znajdującym się po obu bokach pszczelej głowy, radowaliśmy się słońcem — natomiast troje drobnych oczu na pszczelim czole i ich czułe wąsiki, t. zw. macadełka, umożliwiają nam jasną orientację w ich ciemnym mieszkaniu. Bez tych trojga czołowych oczu i bardzo skomplikowanego narządu macadełek, nie mogły by pszczoły wykonywać w ciemnej głębi pnia swych arcysubtelnych, a tak różnorodnych zajęć.

Już na wstępie miażdży nas swoim ogromem niezwykłość urządzenia zamieszkałej przestrzeni. Wnętrze to różni się każdym szczegółem od umeblowania naszych mieszkań. Ludzie budują na poziomej podstawie, z dołu ku górze — natomiast pszczoły zaczynają budowę plastrów od góry ku dołowi Materiał, z jakiego ludzie tworzą domowe sprzęty, nie ma nic pokrewnego z ich osobistą fizyczną istotą — natomiast wosk plastra, to cząstka organizmu pszczół, to specjalny z nich samych i przez nie same wytwarzany budulec.

Na tym polega ta ścisła łączność pszczół z tym olbrzymim, w stosunku do ich wielkości, labiryntem tysięcznych woskowych celek. Celki te są dla nich życiodajnymi kolebkami, spichlerzami prowiantów, a w razie śmierci z głodu, ich trumnami. Celki te, to teren najżmudniejszej pracy. Tłuszcz wosku, utrzymujący ciepło, to nieodzowna podstawa ich bytu i rozwoju. Podobnie jak pszczoła bez wosku, tak wosk bez pszczoły marnieje. Celki bez nich tracą swą gibkość, jak trup sztywnieją i kruszą się za lada dotknięciem. Pszczoły bez plastrów, gdy go nie mogą wytworzyć, giną.

Ta życiodajna łączność pszczół z plastrami odznacza się tak silnym związkiem. tak żywotną spójnią, tak ścisłą jednolitością, że martwy pozornie wosk celek nabitych czerwiem, ożywiony skrzętną czynnością tysiącznych pracownic, ogrzany ich ruchem, drga życiem, twórczym ciepłem, rozgrzewa je niebywałą energią czynu i tworzy groźnego olbrzyma z malizny tych drobnych istot.

C. d. n.

PAŃSTWOWE GIMNAZJUM I LICEUM W ŻÓŁKWI

przyjmuje

zgłoszenia do egzaminów wstępnych

od 20 maja 1939 do 15 czerwca 1939.

1. Dzieci zgłaszające się do egzaminu wstępnego do kl. I **gimnazjum** powinne przedłożyć dyrekcji:
   1) metrykę (data urodzenia od 1/8 1923 do 31/8 1927),
   2) posiadane świadectwa szkolne łącznie z ostatnim,
   3) oświadczenie o złożeniu taksy egzaminacyjnej 10 zł. na konto PKO. Nr. 502359.
   4) życiorys własnoręcznie napisany.

   Dzieci zgłaszające się do klasy drugiej, trzeciej, czwartej, mogą mieć wiek o rok, 2 lata, 3 lata wyższy.

   Dopuszczenie do egzaminu z klasy IV gimnazjum należy do Kuratorium Okręgu Szkolnego Lwowskiego.
2. Petenci zgłaszajacy się do egzaminu wstępnego do kl. I **liceum humanistycznego** powinni przedłożyć:
   1) metrykę (data urodzenia od 1/8 1919 do 31/8 1923),
   2) świadectwo ukończenia gimnazjum,
   3) oświadczenie o złożeniu taksy egzaminacyjnej 10 zł. na konto PKO. Nr. 502359.
   4) życiorys własnoręcznie napisany.

   Dopuszczenie do egzaminu do drugiej klasy liceum humanistycznego należy do kompetencji Kuratorium. Podania muszą być wniesione przed 10 czerwca.
3. **O teminie egzaminów** zostaną zainteresowani powiadomieni przez dykrekcję drogą pocztową.

Redaktor: Prof. STANISŁAW BIETKOWSKI, ŻÓŁKIEW.

Adres Administracji: Żółkiew ul. Mnisza 36.

Drukarnia Polska w Żółkwi.